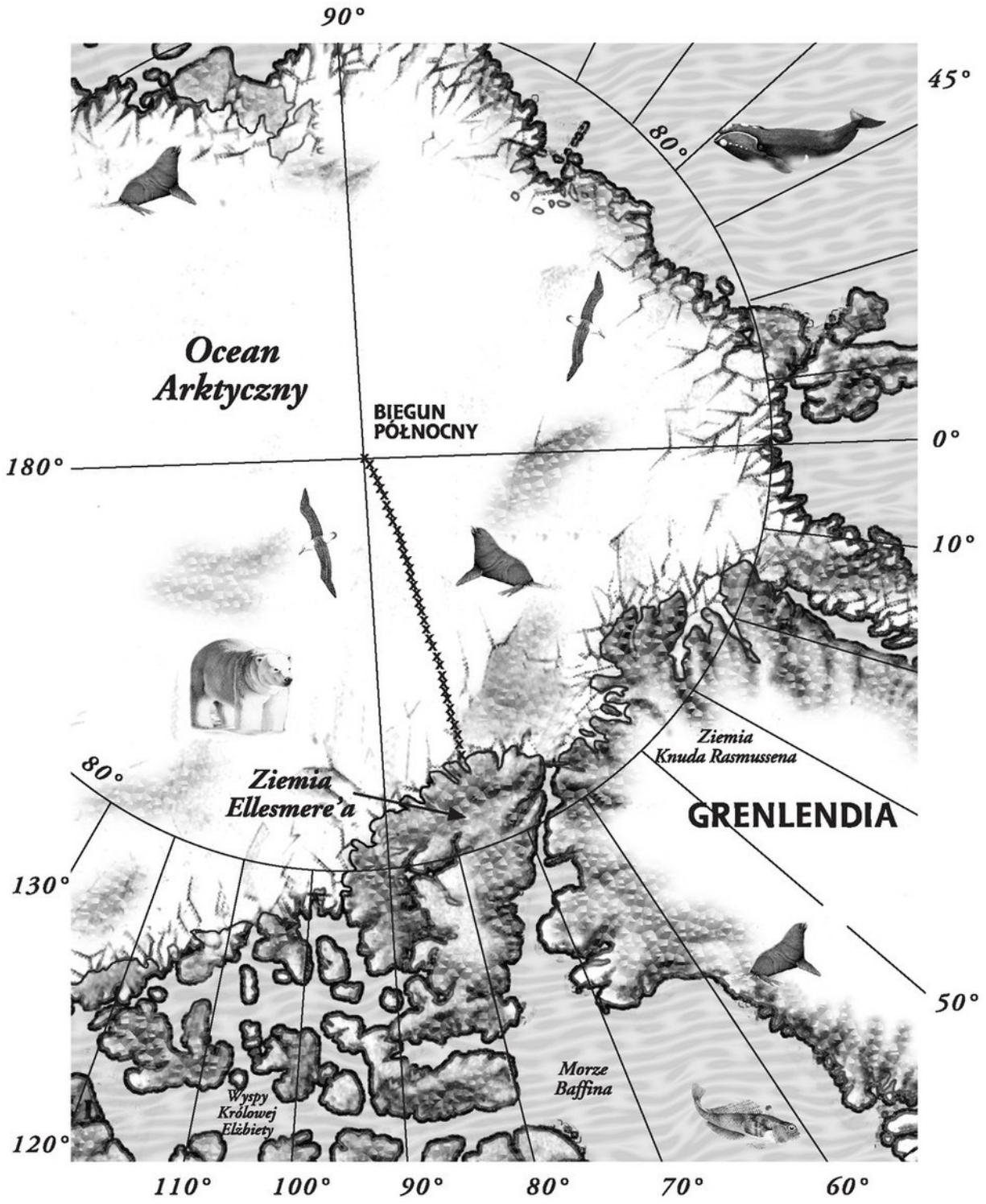


Biegun północny



MORZE ARKTYCZNE – 1995



xxxxxxxxx szlak wyprawy

ARKTYKA

ARKI TNA

Biegun północny

A droga wiedzie w dal i w dal, gdzie się zaczęła? Tuż za progiem, a gdzie się skończy, nie wiem sam, tego powiedzieć wam nie mogę.

Od ponad miesiąca jestem chory. Przeziębienie, katar, grypa czy co tam nie jeszcze. To absurdalne. Przez pięć lat nie byłem chory na nic takiego. Wszyscy wokoło kaszleli, kichali, a ja nic. Teraz przed najbardziej ekstremalną rzeczą, kiedy muszę być w super kondycji, po prostu jestem chory. Nie przechodzi, chociaż zdesperowany faszeruję się na okrągło lekarami. Nie mogę trenować. Nie mogę biegać, pływać, chodzić na siłownię, jeździć na nartach. Nic. To śmieszne i absurdalne. Jak to będzie? Nie mogę nic robić. Jestem słaby. Gumka. Będzie można życie stracić, a ja jestem chory. Wychodzimy z Wojtkiem gdzieś tam na świeże powietrze i po chwili Wojtek mówi: „wchodzimy do środka, bo zachorujemy”. Niezły tekst jak na dwóch polarników, którzy za miesiąc będą szli na Biegun. No ale tak jest. Obydwaj ostatnio się pochorowaliśmy. Ale tak naprawdę, czy to ma jakieś znaczenie. Nie wiadomo do końca, co będzie ważne tam. Chciałbym już iść. Jeszcze miesiąc i trochę do początku wyprawy. Jak to będzie. Wierzę, że dojdziemy, damy radę. Ale kto wie? Trzeba pójść na całość. Mało czasu zostało. Jak tam będzie?

Dzień 1., 13.03.1995

Start 83° 05'48,9" N, 74°10'24,0" W.

Koniec dnia 83°07'51,8" N, 74°00'24,1" W.

W nocy zimno. Może poniżej -50°C. Nogi zimne. Trzeba było popracować nad nimi. Potem cały czas uważałem, bo namiot mały. Trudno spać.

Dzień 11., 23.03.1995

Idziemy wzdłuż szczeliny, nie ma przejścia. W pewnym momencie Wojtek jest na drugiej krze, która zaczyna się oddalać, ale jakoś wskakuje z pułkami. Wieje mocny wiatr i trochę się wychładzamy. Wieczorem łączność, ze Spitsbergenu nici, za to rozmawiamy z Resolute. Ciemno jak diabli,

temperatura -35°C . Robimy 4,9 kilometra i to na północ. To nasz najlepszy wynik. Wojtek myśli, że do Bieguna to nie, ale gdzieś tam dojdziemy. Ja wierzę, że Biegun będzie nasz. Problem z palcami, podczas przerw ciało się wyziębia i później trudno rozetrzeć dłonie. Zaczyna tak wiać, że wkładamy spodnie od anoraka. Przez chwilę inny świat. Tamten. Aż ciężko w niego uwierzyć. Wszystko to złuda w sumie. W nocy marzną nam stopy w śpiworach. Najgorzej z kurtkami puchowymi, przestają grzać, a zaczynają chłodzić.

Dzień 12., 24.03.1995

Zimno.

Dzisiaj są moje urodziny i imieniny, „które obchodzę bez rodziny daleko, wysoko...” E.S. No tak, 31 lat. Czego sobie życzę – Bieguna i tak dalej.

Rano przy składaniu zepsuł się zamek w namiocie. Jedna ściana otwarta. Budzimy się późno przez łączność. Teren ciężki, cały czas torosy. Najgorszy ostatni odcinek, przez kawały lodu. Ciągłe jeszcze torosy. Raz mniejsze, raz większe. Ściany torosów. Sterczące w niebo płyty lodowe grubości pięciu metrów, murki, zapory. A pomiędzy nimi polanki. Ciągniemy pulki przeważnie razem, ja bardziej z przodu, potem Wojtek. Zrobiliśmy 2,3 kilometra, do Bieguna 752 kilometry. Kiedy w końcu zejdziemy poniżej 700. Dużo czasu zabiera składanie i rozkładanie namiotu, za długo też śpimy. Przeważnie kładziemy się spać o 22:00 i wstajemy o 7:00. Należy wstawać o 6:00.

Myślę sobie, jak w tamtym roku było fajnie w Gdańsku. Moje imieniny, dostałem zegarek, który mam ze sobą na lewej ręce. A teraz w drodze. Gdy człowiek idzie, z pamięci wychodzą różne postacie i przez chwilę idą obok. Można im się przyjrzeć z różnych stron. Potem odchodzą. Przychodzą i znikają same.

Dzień 13.

Noc nie najgorsza, powoli się przyzwyczajamy.

Na razie wszystko w normie, zimno, znowu spotykamy torosy. Całe morza torosów. Wojtek chce w prawo przez nie. Roboty na parę dni. Znajduję drogę bardziej w lewo. Idziemy.

Znów torosy i znów morze. Dochodzimy do szczeliny, a potem przez godzinę czy dwie szukamy drogi. Napotykamy ślad Oaga MacKenzi'ego. Rozmawiamy

jeszcze, co jest standardowym celem takich wypraw? Czy chodzi o to, żeby dojść, czy to zabawa, czy jeszcze co innego.



W nocy śniły mi się placki ziemniaczane. A i tak jedzenie mamy OK. Nasze błędy to kurtki i spodnie puchowe, namiot, botki mogłyby być cieplejsze, może coś ze śpiworami, system na dłonie z barierą przeciwpotną, lepsza pompka w prymusie. Zrobiliśmy 2,3 kilometra, z czego na północ 1,7. A więc cały czas przed nami 750 km.

14. dzień

Zimno, chyba -40°C , a do tego wiatr. Najzimniejszy dzień, rano sama para. Na postojach normalne wychłodzenie. Przez cztery godziny przedzieramy się przez torosy. Ciężko, Wojtka pulki pękają. Później przez szczeliny i zwały lodu. Pod górkę.

W końcu otwiera się przed nami droga. Równo, ładnie, gdzieniegdzie chaos, torosy. Idziemy. Przez cztery godziny przechodzimy dwa kilometry. Ciągniemy pulki na zmianę. Idziemy do 20:00.

Na ostatnim postoju okazuje się, że mój prawy but prawie pękł. Jeżeli pęknie do końca, to będzie poważne zmartwienie. Pękły dwie warstwy na trzy. Coś się zawsze wymyśli, w najgorszym wypadku pójdę dalej w butach bez nart. Gdyby to wydarzyło się na dwa tygodnie przed Biegunem, to jeszcze, ale po dwóch tygodniach to kiepsko. Ale to nic, trzeba iść.

Wieczorem wspaniałe słońce. Nigdy takiego nie widziałem, czerwona rozgrzana kula wisząca nad horyzontem. I trzeba wejść do zimnego śpiwora. Najchłodniejsza noc do tej pory. Już dwa tygodnie cały czas temperatury poniżej -40°C . To już coś, jest jakieś doświadczenie.

15. dzień

Noc bardzo zimna, rano normalnie.

Napotkaliśmy obóz Oaga MacKenzi'ego, łuski po nabojach, worki po jedzeniu. Chcemy zobaczyć, ile robi kilometrów dziennie od obozu do obozu, dzisiaj to sprawdzimy. Jest ładnie, słoneczko, temperatura poniżej -40°C , grabieją ręce. Najzimniej jest w ręce.

Dochodzimy do szczeliny po całym dniu marszu, nie da się obejść. Próbujemy w prawo, w lewo. Torosy. Przeskakuję po świeżym lodzie i krach na środek. Z pulkami byłoby niebezpiecznie. Cholernie zimno. Rozkładamy obóz. Wieje.

16. dzień. Zamięć

W nocy wiatr narasta. Rano miecie śniegiem, silny wiatr, słaba widoczność. Iść byłoby ciężko. Kibel. Zostajemy w namiocie. Próbuję czytać książkę „Przekroczyć próg nadziei”, przez mały otwór w śpiworze. Ciężko utrzymać książkę. Tylko po parę stron. Wieczorem nagle robi się cieplej na parę godzin. Czuję to, bo nogi przestają być skostniałe.

Cały dzień i dwie noce leżymy w śpiworach. Jeden posiłek.

17. dzień

Szczelina była Szeroka i Długa, jak ulice w kochanym Gdańsku. A tu po niej ani śladu, całkiem inny krajobraz. Żadnej otwartej wody i jakby jej nigdy w tym miejscu nie było. Zaspy po zamieci. Idziemy. Torosy po drodze, trzeba się przebijać przez godzinę albo więcej. Od uderzeń o lód i torosy moje pulki

prawie pękają. Może dlatego, że idą pierwsze. Cały laminat jest zdarty. But jeszcze się trzyma na włosku.

Znowu dochodzimy do zwałowiska gruzu. Przechodzimy, ale przed nami następne. Robi się późno, zostawiamy je na jutro. Ogarniają nas różne myśli, że późno wyszliśmy, że robimy mało kilometrów.

Jak to będzie? Teren nie puszcza, zimno trzyma. Trzeci tydzień poniżej -40°C . Namiot siada, but też. O kurtkach puchowych lepiej nie wspominać. Lodowate zbroje. Ale musimy iść. Wszystko jedno, co by nie było, musimy iść. Idziemy i będziemy szli. Mamy czas.

18. dzień

Szamotoanina pod Ward Hunt Island. Za nami cień wyspy, a my szarpiemy się tutaj. Rano problemy z masztami od namiotu. Aha, dwa kijki narciarskie już się połamały. W ciągu dnia jakoś wpadamy w rytm i teren też nie najgorszy. Trochę gruzu, ale da się wytrzymać. Wieczorem napotykamy ślady obozu i świeży ślad Macka. Jest najwyżej dwa dni przed nami. Nasza wiara w siebie wzrosła, nie jest tak źle. Nie jesteśmy takie gumki. Wieczorem łączność, pierwszy raz udaje nam się pogadać ze Spitsbergenem. Słyszalność super. Rozmawiamy też z Resolute. Jest fajnie.

19. dzień

Budzimy się później. Przez łączność położyliśmy się spać po 24:00. Tak że zaczynamy dopiero około 12:00. Teren dobry, powoli coraz mniej torosów. Robi się gładko.

Do 19:00 przeszliśmy 5,1 kilometra, pozycja: $83^{\circ}30'\text{N}$. Jedzenie jest super, a pemmikan po prostu pycha. Może krok po kroku jakoś dojdziemy.

20. dzień

Zła pogoda, wiatr, miecie śniegiem, szarpie namiotem. Kibel. Leżymy cały dzień w śpiworach. Trochę cieplej niż poprzednio. Wiatr czasem się wzmaga i całym namiotem porządnie trzęsie. Czytam książkę. Rozmawiamy wieczorem z Wojtkiem o Australii, Antarktydzie i takich tam rzeczach. Śpiwór oblodzony, a w środku wilgotny i przesiąknięty wodą.

Jemy połowę dziennej porcji. Cały dzień leżymy w śpiworach jak larwy w kokonach.

21. dzień

Ciągle wieje, ale my musimy iść. Może nie będzie tak źle. Kurtki puchowe to prawdziwe broje pełne lodu. Ważą chyba piętnaście kilogramów.

Znowu torosy, nigdy nie odpuszczą. Racjonalnie myśląc, nie mamy prawie szans, żeby tam być. Pozostaje tylko Wiara i Nadzieja.

Wierzę, że tam będziemy. Musimy to jakoś przełamać.

Teren zły. Świeżo zamarznięta szczelina pokryta śniegiem. Idę pierwszy, Wojtek za mną. Wojtek wpada butami do wody. Po prostu była przykryta śniegiem. W chwilę potem pode mną załamuje się kawałek lodu i też wpadam. Niewesoło. Jakoś tam będzie. Przemęczyliśmy te torosy, było ciężko.



Wieczorem suszenie. Śpiwory sam lód, trudno w nie wejść. Potem trzeba długo je rozgrzewać. Zimno w śpiworach, zimniej niż na zewnątrz.

Noc ciepła. Wyrzucamy część rzeczy. Czas rozstać się z plecaczkiem i innymi miłymi przyjaciółmi, którzy tak długo mi towarzyszyli. Plecaczek aż od

Hamburga, dostałem go od Ewy. Coś trzeba będzie zrobić ze śpiworami i kurtką.

22. dzień

Ciepło, -20°C , pada śnieg. Trochę wiatru. Na początku nic nie widać. Przebrane. Wpadamy do dziur, potykamy się, koszmar. Bardzo zła widoczność. Później z wolna się przyzwyczajamy. Idziemy, dajemy sobie radę. Włazimy w chaos lodowy. Torosy, zwały, bryły, kawały, wszystko razem. Krok po kroku przechodzimy. Działamy.

Wytrzymałaliśmy trzy tygodnie poniżej -40°C . Teraz ciepłutko. Nie ma strachu. Nie trzeba się bać o odmrożenia palców u rąk i nóg, nie jesteśmy tacy zaszczuci. Trafiamy na świeży ślad Macka.

Rozstaję się z plecaczkiem. Wynoszę go na szczyt wielkiej góry lodowej. Wkładam do środka parę rzeczy. To też jest coś: zakończyć żywot na tym padole, po drodze na Biegun. Nie każdemu plecakowi jest to dane. Teraz będzie sam i będzie patrzył na to wszystko. Na zmieniającą się pogodę, na otwartą wodę. Samotnie na wierzchołku góry. Może zobaczy inne ekspedycje? Wieczorem ciepło. Rozpruwamy śpiwory i wydłubujemy nożem lód. Dużo lodu jest w środku. Lód jest w puchu i nie da się go do końca usunąć. Ale doraźnie coś tam pomoże. Między śpiworami też są zbrylone kawałki lodu. Można działać bez rękawic grubych i idzie łatwiej.

Wilgotno. Zbroja ciężka i mokra.

W nocy luksusowo. Ciepłutko, przyjemnie, cudownie. Niesamowite. Jest naprawdę bardzo przyjemnie. Przy -20°C życie staje się cudowne.

Aha, gdyby napisać książkę, to dlaczego nie dla dzieci? Dorośli i tak nic z tego nie rozumieją albo przeczytają na opak. Dzieciom łatwiej zrozumieć, dlatego napisanie dla nich książki ma sens.



23. dzień
Oag MacKenzie
P.O. Box 69
HEREFORD HRZ. 6XJ
ENGLAND.

Dokładnie w południe spotykamy Macka. A jeszcze wczoraj wieczorem przed wejściem do śpiwora pomyślałem „w południe spotkamy Macka”. Wydawało mi się to nierozsądne. I taka precyzyjna pora. A jednak. Pierwszy raz w życiu coś takiego mi się zdarzyło. Mack wymęczony, jest tu już prawie trzydzieści dni sam. Najpierw mu pomachaliśmy i on zaczął powoli iść w naszą stronę. Spotkanie super, pogadaliśmy dwa razy na przerwach. Idzie mu się ciężko, bo ma za duży ciężar. Wszystko musi robić na dwa razy. Wieczorem Wojtek coś marudzi, robi mi się nieprzyjemnie. Mack przychodzi do naszego namiotu razem z pingwinem, którego niesie dla syna. Jednak są pingwiny w Arktyce. Nasze namioty stoją niedaleko siebie.

Małe trzęsienie ziemi: kra, na której jesteśmy, pęka i kawałki zderzają się. Namiot drży, chodzi i słychać huk. Widzę przed sobą przerażone twarze Macka i Wojtka. A jak ja wyglądam?

I tak trzy razy. Dobrze, że nie rozbiliśmy namiotu na świeżym lodzie, jak chciał Wojtek, bo za trzecim razem właśnie stamtąd był największy hałas. Mógł popękać.

Testujemy spanie w jednym śpiworze. Zimno. Kurtki do niczego. Mack ma dobrze umieszczony kompas, bezpośrednio na ręce, kurtka z windstoperu też dobra, namiot rozkłada się od razu, szmata izolująca na prymus. Ma parę dobrych patentów, ale ten ciężar. Gotuje bezpośrednio w namiocie i za jednym zamachem się suszy.

24. dzień

Z rana dobrze.

Oag wpada po kolana w szczelinę z otwartą wodą. Wychodzi z tego.

Teren kiepski, idziemy znowu powoli. Ciągniemy przez pola pełne torosów. Ciężko, cali jesteśmy mokrzy. Dochodzimy na przerwę i zdejmujemy wszystko, do bielizny prawie. Trochę suszymy na słońcu, ale zaraz robi się zimno. Wciąż kiepski teren, ale trzeba iść. Nie ma innej drogi, tylko na północ.

I same torosy, garby, muldy, zastrugi. Niczego nie da się obejść, wszędzie tak samo. Będziemy szli dotąd, dopóki starczy jedzenia i paliwa. A potem będziemy topić lód i pójdziemy dalej. Zobaczymy, co da się zrobić. Wojtkowi złamał się ząb i ma odmrożone końce palców. Ja mam lekko odmrożone dłonie. W sumie na razie wszystko w porządku. Najgorsza sprawa to but, pękł prawie do końca.

Ostatnie trzy dni to była straszna męka. Na domiar złego okazało się, że zapasowe wiązanie nie pasuje na mój ogromny bucior. Nie sprawdziliśmy. Tymczasem prowizorycznie obwiązałem but sznurkiem, chociaż to niewygodnie zakładać i spada. Pewnie będę miał nartę przywiązaną do buta cały dzień, nawet na przerwach, ale to nic. Najważniejsze, że do przodu. W samych butach byłoby nieporównanie ciężiej.

Po dwóch godzinach od rozłożenia obozu dogania nas Oag. Aby nas doścignąć, musiał się cholernie umordować ze swoimi dwoma sankami. Strasznie fajny facet. Normalny. Opowiada o swoim dzieciaku i że już nie chce robić żadnych wyczynów, za to chciałby go po prostu wychować. Zwyczajnie – jak ojciec swojego syna.